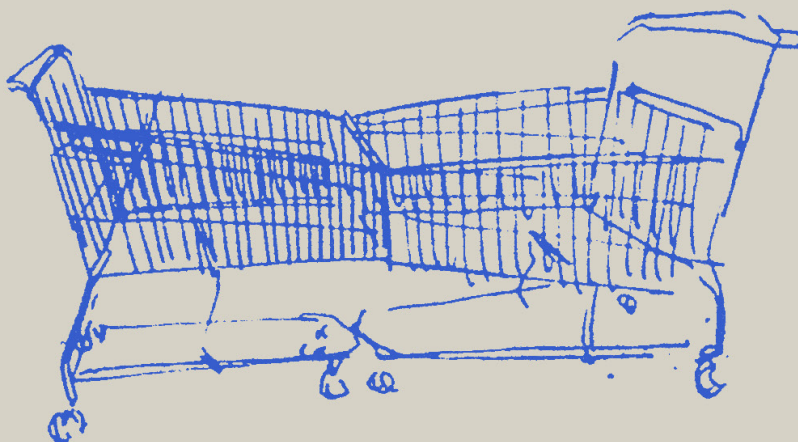
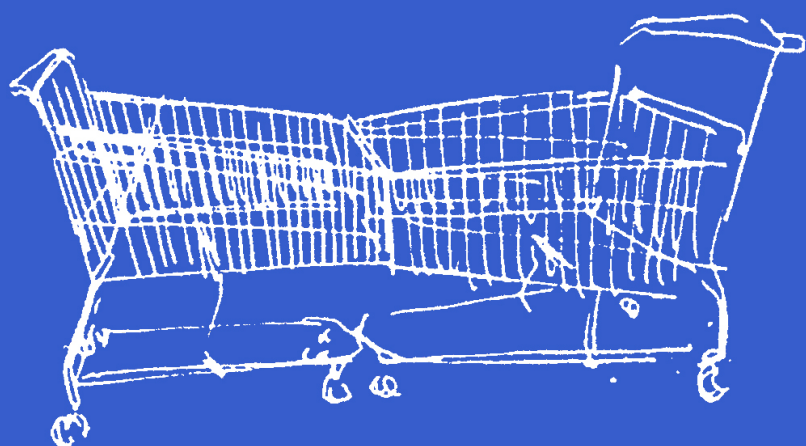


Magazyn Literacki Składka
nr 1/2025 (15)
Do zobaczenia



Oliwia Płochocka, Agata Fogtman, Daria Zaręba, Weronika Stępkowska, śomi śniegocka,
Nena Pawletko, Igor Pawletko, Mikołaj Krzysiek, Dominika Król, Julia Sałacińska,
Józefina Arodaz, Andrew McMillan, Zuzanna Stempska, Alhelí Málaga



4	Oliwia Płochocka Pożegnanie jutra
5	Agata Fogtman Goście, którzy już opuścili mój dom
7	Daria Zaręba Kaszel w drodze do apteki
9	Nena Pawletko Przesadzanie
14	Igor Pawletko Sra-Med
18	Mikołaj Krzysiek jak napisać wiersz
19	Józefina Arodaz Krzesło i rotacja
21	Andrew McMillan, tłum. Dawid Mobolaji Oczyszczenie Budka telefoniczna Sam fakt, że to robię nie oznacza, że Męczeństwo
26	Weronika Stępkowska alba
28	śomi śniegocka pierścienie saturna
31	Dominika Król mini
32	Julia Sałacińska teleporada
34	Zuzanna Stempska Na odwrót
38	Alhelí Málaga nic pomiędzy

Pożegna- nie jutra

Oliwia Płochocka

przy rytualnym rozpoczęciu dnia
nakręcam zakręt mózgu wokół
palca z tortu wyciągam
zdmuchnięte świece za kilka chwil
są moje kolejne urodziny

wkręcam się że tak już jest
że z przyzwyczajenia jutro się
żegna a wczoraj wita nie
nadażając
za cyklicznością rzeczy w linearnym
ciele

spóźniliśmy się na zachód
słońca tęsknię już za tym
jutrzejszym
wkręcamy się że to wszystko
jakoś się odkręci w odpowiednim
czasie

Patrzę. Widzę, że są obce. One odpowiadają zuchwałym spojrzeniom. Przez lata nieskromnie zajęły przestrzeń na mentalnej mapie mojego mieszkania. Bez dłuższego zastanowienia dokładnie nie wiem, gdzie leżą.

Jest ceramiczny kot od J., który trzyma się niezręcznie za ogon. Jest figurka rozciągającego się dachowca od S. Jest stara książka od historii sztuki z pożółkłymi kartkami, które są szorstkie pod opuszką palca i pachną strychem. Kończy się na wieku XIX. Od F. W szafie na górze zamknięta jest pluszowa żaba z namalowanym tribalem. To od Z. Na komodzie stoi oparte o ścianę ornamentalne lustro niewielkich rozmiarów. Za jego ramę wciśnięta jest mała czarno-biała grafika z księżycem. Od H. Jest też toster w dolnej szafce w kuchni. Za regałem zwinięta papierowa torba z nakrętkami. Gdzieś w szafce z odpadającym frontem obja się pojemnik po hummusie od J., a w wiklinowym białym koszyczku nadal trzymam małe okrągłe pudełeczko z niebieską pokrywką od O. Dostałam w nim kiedyś remuladę.

Zastanawiam się, czy te przedmioty mają w sobie zaklęte coś z ich poprzednich właścicieli. Gości, którzy zdaje się, że wpadli zaledwie na krótką wizytę. Dopiero co wytarli buty o wycieraczkę i już musieli pędzić dalej. Załatwiać swoje sprawy. Po drodze zostawiając *fleabagowego dinozaura* gdzieś na tyle półki w moim salonie. Bez zwięzłego pożegnania, jakby przewidując kolejne odwiedziny w najbliższym czasie.

I tak zbieram te *dinozaury*, jakby z podświadomej obawy, że w końcu wspomnienia o ich pierwotnym pochodzeniu wymarzą

Goście, którzy już opuścili mój dom

Agata Fogtman

się ostatecznie. Czy zatrzymanie ich jest aktywnym zaprzeczeniem przemijania? Czy zachowanie ich jest próbą wyparcia, że wszystko się kończy i ostatecznie zlewa w coraz bardziej nic nieprzypominającą masę? Czy może po prostu nie wiem, co z nimi począć?

Artefakty minionych relacji.

Zastanawiam się, czy się ich pozbyć. Odciać się od nich bezczelnie, wyrzucić do kosza, oddać. Usunąć te napromieniowane kapsuły czasu. Czy gdyby zamknąć je wszystkie w jednym słoju, to pamiętać w nich zawarta sfermentowałyby i uległa przekształceniu? Czy osie wspomnień nałożyłyby się na siebie i doszłoby do zakrzywienia czasu? Stworzyłaby się jakaś szczelina, która obejmowałaby wszystko, co się zakończyło. Taka, co nawet pochłania wspomnienia zmultiplikowane do potęgi sentymentalnej.

Obiekty kolekcjonerskie.

Z przyzwyczajenia regularnie wycieram z nich kurz. Pielęgnuję bez zastanowienia. Patrzenie na nie dłużej odtwarza jakieś miałkie obrazy. Czy to mnie porusza, irytuje czy napęnia jakimś nostalgicznym ciepłem? Sprzątam dalej. Szmataka jest już pełna szarego osadu, idę ją przemyć pod zimną wodą.

One – niewzruszone.

Dają im stać w progu.

To tylko widmo gości, którzy już opuścili mój dom.

fajki.

nie dyndają bezwiednie w ustach, ale na środku dłoni i pojawia się taki niewielki tatuaż z domieszką bąbelków.

objawy cichego kaszlu – tłuste włosy, jedwabna halka pożółkła do kości, z plamą po kawie, ketchupie, tonę w maśle – kiedy ostatnio tarzałam się w śniegu, albo chociaż w kromce chleba? zimno bez dna. woda nie wanna sucha tęsknota. zapach chloru schrupany w skrzynce dłoni. ono, krzesło szargane emocjami, siedzi na mnie, bo jest zmęczone moim ciężarem. ma rację, oni zawsze mają rację, ja nic nie wiem, nigdy, wszędzie tylko pytania, bo nie mieszczę się we własnych butach, włosach, kłębach dymu, to prawie tak, jakby mnie nie było. cichy kaszel skrapla mi gardło.

wpakuję się do pralki, jeziora, może scalę z podłogą miejskiej poródówki.

zgarbiona, taka poszarpana jak paragon po bananach, w zatłoczonym autobusie, nie płaczę, chociaż czasem jest ciężko, gdy wszystko wokół zachodzi mgłą. jest tłok, sardynki wbite w powierzchnię stalowej blachy w drodze donikąd. coś maca mnie po plecach, ale się nie odwracam, to tylko kaszel. kaszel w aucie destrukcji.

ląduję na miękkim fotelu, a jakiś łysy facet wlepia wzrok w notatki jak student medycyny na wykładzie, ale to tylko ja, taki pochyły znak zapytania, ja, zbita porcelana, taka do sklejania taśmą dwustronną, zaraz ląduję w koszu, bo tak jest łatwiej i szybciej. problem z głowy. ujęta w kartki, plama po winie na świeżo położonym dywanie.

Kaszel w drodze do apteki

Daria Zaręba

miligramy do poduszki, kolejny tydzień dwie tabletki z rana, więcej ruchu, ale nie wszystko naraz, bo to takie zdradliwe cukierki, smakują papierem ściernym i plamią mózg do momentu apatii, ale czasem apatia jest lepsza niż chaos własnych oczu i paznokci, dudnienie ciężkich kroków pod mostkiem, młotek za ścianą, wbity w inną czaszkę, a nie, to jednak gwóźdź i sąsiad z remontem o północy. może przebije się przez tą szramę w salonie tuż pod nosem? wino z denkiem, w środku nic.

później jeszcze rozmowy, rozmowy, więcej rozmów, ale portfel to nie studnia, a ona tylko pozornie macha głową i udaje, że rozumie. znowu tu, na kozetce, dwa lata później, było dobrze, ale on zagościł się we mnie w pikowanym fotelu, przed paleniskiem.

kaszel w drodze do apteki.

I

Czasem chowała się w szafie, ale nigdy nie mogła doczekać jej powrotu. Nawet kiedy B. rzekomo była blisko, już prawie niedługo wchodziła do klatki, pisała, to nie udawało się wytrzymać. Czas w szafie płynął jeszcze wolniej, niż gdy po prostu czekała. Gdy po prostu czekała też nie płynął szybko, ale mogła planować sobie zadania. Na przykład zrobić obiad, trochę po to, żeby obiad był zrobiony, a trochę po to, żeby móc napisać jej, żeby dała znać pół godziny przed powrotem, to wstawi ziemniaki, i nie czuć, że przeskadza jej w pracy.

W niektóre dni udawała B. Zaraz po jej wyjściu wyskakiwała z piżamy i błyskawicznie się szykowała. Zakładała wyjściowe koszule, które zostały jej z kiedyś. Nawet nie musiała odgrzewać swojej porcji ich wspólnej owsianki, którą B. gotowała rano. Kiedy zimą szła do metra, chodziła po wydeptanych śladach na śniegu, a zamawiając kawę, podawała jej imię. Kupowała bilet 75-minutowy i jechała taką trasą, żeby zostało jej jak najmniej minut po wyjściu na swojej stacji. Robiła trasę B. do pracy i jechała nawet dalej, jakby była od niej jeszcze poważniejsza i jeszcze doroślejsza. Miała ponad godzinę w metrze na przyglądanie się ludziom, próbowała być niewidzialna, wtapiać się w tło i w osoby. Kiedy ktoś obok niej czytał, wyciągała książkę, kiedy ktoś pisał maile na telefonie, wyciągała telefon i też pisała maile. Wysyłała je samej sobie, na przykład o tym, że dziś w metrze wyjątkowo zimno albo że człowiek naprzeciwno, który ciągle się rozgląda, chyba chce coś powiedzieć, ale odkąd wsiadł, jeszcze się nie odezwał. Myślała o tym, jakie to niesamowite, że wszyscy ci ludzie jadą skądś i dokądś, że każdy ma swój

Przesadzanie

Nena Pawletko

ulubiony smak chipsów i każdy codziennie gdzieś zasypia. Zastanawiała się, jak zasypiali wczoraj ludzie dookoła niej. Kiedy już odłożyli wszystkie swoje rzeczy, wyłączyli telewizję i postawili szklankę wody na stoliku nocnym. Jakie mają łóżka, w co są ubrani i kto śpi obok nich. W życiu widziała zasypiających może z dwadzieścia osób. Najpierw rodzeństwo, bo zasypiających rodziców z dzieciństwa nie pamięta, pamięta, że jak później, już podczas studiów, przyjechali do niej na weekend i spali w jej kawalerce, wieczorem ona jeszcze czytała książkę i słuchała ich uspokajających się oddechów. Pamięta wycieczki szkolne i nocowania w podstawówce, swoje przyjaciółki i dziewczyny. Zasypiającą B. widzi prawie codziennie, ale dalej podnosi wzrok znad książki, kiedy wyczuwa, że zbliża się ten moment. Patrzy na jej twarz, na to czy dziś osuwa się w błogość czy w zaniepokojenie. Stara się uparczywie pamiętać, że rano obie się obudzą.

Kiedy była w gorszym humorze, to zgadywała, kto z wagonu metra umrze pierwszy. Próbowwała nie iść stereotypami i nie wybierać najstarszej osoby. Brała pod uwagę różnicę w długości życia dla płci, pamiętała, że umieranie jest kwestią klasową – w przypadku mężczyzn różnica w oczekiwanej długości życia między mężczyznami z wykształceniem podstawowym a wyższym to aż 11 lat! – i próbowała uważnie wybrać. Bo przecież w każdym wagonie musi być taka osoba i w którymś momencie, pewnie już niedługo, okaże się, czy miała rację. To było tak, jakby wydawała wyrok i to ona miała o tym zdecydować. Raz w wagonie jechało dużo dzieci i musiała wytypować siebie.

Kiedy udawała B., powrót wypadał o godzinie, o której normalnie wstawała. Mogła zdjąć koszulę i spodnie, wskoczyć do łóżka jeszcze na 15 minut, zanim zacznie dzień drugi raz.

Tamtego dnia za wcześnie zaczęła robić obiad i wszystko było gotowe godzinę za szybko. Chociaż miała dużo pracy, postanowiła zrobić drzemkę. Zasnęła prawie od razu. Odliczyła od 30 do 0 – podobno amerykańscy żołnierze tak zasypiają, chodzi o to, żeby odliczać w dół, a nie do góry, wtedy nie czeka się na to, co jest na końcu, mózg sam wie, że po zerze już nic nie ma – zaczęła ziewać, poczuła, jak zapada się miękko w siebie i zaraz już spała. We śnie patrzyła. Obraz wydawał się przygaszony, światło ruszało się jakby wolniej. Była w pokoju dziecięcym swojego brata. Patrzyła z wysokości pasa, tak jakby stała na biurku. Czuła w sobie przepływy energii, czuła słońce na skórze i wilgotność powietrza. Była bardzo szczęśliwa.

B. obudziła ją, cicho pogwizdując. Stała nad nią uśmiechnięta i gwizdała melodię z czołówki *Bojacka Horsemana*. Kiedy jadły razem obiad, ona myślała o śnie, ale nie wiedziała, jak opowiedzieć go B. Zresztą B. zawsze śmiała się z niej, kiedy opowiadała sny i jeśli parę godzin później znowu o nich mówiła, musiała opowiadać od początku.

II

Nie była w stanie jej powiedzieć. Kiedy akurat miała okazję, tak że nie wyszłoby głupio, a co najwyżej trochę dziwnie – chciała się przecież zamienić w paproć! – nie mogła się na to zdobyć. Czuła słowa w gardle, czuła je na języku, ale grzęzły gdzieś i wracały z powrotem. Ile by dała, żeby B. się domyśliła, żeby zapytała ją, czy przez przypadek nie myśli o zmianie w paproć i żeby ona mogła tylko pokiwać głową i uśmiechnąć się trochę przepraszająco, a trochę wiedząc, że nie ma za co przepraszać i że nie robi nic złego.

B. od razu chyba zrozumiałaby, jaki to dobry pomysł i że tak w zasadzie wszystkim będzie lepiej, choć pewnie z początku byłoby jej trochę przykro.

Wstała tak, jakby miała znowu udawać B. Dziś przed jej powrotem miała bardzo dużo do zrobienia. Ubrała się bardzo dokładnie i zjadła swoją owsiankę. Zastanawiała się, czy nie zasługuje dziś na jakieś specjalne śniadanie. Może zrobiłaby sobie szakszuskę, ale owsianka już na nią czekała, w dodatku jeszcze ciepła. Po śniadaniu poszła na spacer pożegnalny po okolicy, spojrzała na swoje ulubione drzewa – olchę w głębi parku, cyprysy w jednym z tych domów jednorodzinnych niedaleko i topolę nad stawem. Zaplanowała spacer tak, żeby po pożegnaniu z drzewami dotrzeć do Obi. Na dziale ogrodniczym wybrała sobie doniczkę, kupiła ziemię i nową łopatę, bo z gotówką i tak nie będzie miała co zrobić. W piekarni koło Obi kupiła rogaliki, głównie dla B., ale sama też zdążyła kilka zjeść po drodze. Po powrocie do domu wzięła się do roboty. Najpierw do wybranej doniczki nasypała trochę ziemi, spróbowała się w niej umościć. Było wygodnie, na razie trochę za sucho, ale jak się trochę ukorzeni, to będzie jej zupełnie przyjemnie. Otrzepała się z ziemi i usiadła do stołu. Na kartce z zeszytu napisała:

Od dziś będę paprocią. Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

Do zobaczenia, jak wrócisz z pracy.

Kocham Cię,

J.

Na marginesie dorysowała niezbyt dobrze oddaną paproć, ślimaka i dwie chmury. Ułożyła list równo na stole, zakreśliła długopis. Zdjęła wszystkie ubrania, bo co z niej byłaby za paproć w dresach i t-shircie, i zaniósła do kosza na pranie. Gdyby wstawiła teraz ciemne, to akurat B. by powiesiła po pracy. Chwilę się zastanawiała, ale uznała, że pranie może poczekać. Wróciła do swojej doniczki. Znowu się umościła, teraz było dużo wygodniej, przysypała się ziemią i nalała trochę wody. Odwróciła się twarzą do okna i poczuła na sobie początki popołudniowego słońca. Tu będzie jej dobrze.

III

Czekanie już nie jest problemem. Czas płynie inaczej, jakby wszystko działo się jednocześnie, B. wychodzącą zrobić siku trudno odróżnić od B. wychodzącej do pracy. Jestem już spokojna, ruszam się delikatnie i z umiarem, potrafię wysiedzieć w miejscu. Sny opowiadam szumem liści. Wdycham twój dwutlenek węgla, żywię się nim i wodą, którą mnie podlewasz. Na moich liściach osiadają cząstki twojej skóry, kawałki paprochów, które wyciągasz z pępka i wilgoć twoich kichnięć. Codziennie widzę cię, gdy zasypiasz. Przed snem chwilę patrzysz na mnie i uśmiechasz się tak, jakbym właśnie powiedziała coś śmiesznego. Jeśli będziesz o mnie dbać, to cię przeżyję, ale nawet z tym sobie poradzę.

Sra-Med

Igor Pawletko

*A wirowanie to nie miało oczywiście dla dziejów świata żadnego znaczenia.
Ta opowieść jest po prostu za szybka, któż ją wytrzyma.*

Tamara Bołdak-Janowska

Siedzi za tą ladą w przychodni i obsługuje tych ludzi wszystkich. I głównie to starsze takie panie. Raczej niegroźne i raczej sympatyczne. Ale się zdarza też różnie przecież. I one zawsze są za szybko na swoje wizyty. Na wizytę dzisiaj o 13:20 pani Mariola przysłała o 12:30. Cztery osób przed nią do ósemki czekały, ale co on może?

I przysłała kolejna pani. Elżunia może albo Janina. Spóźniona. Przecież nic nowego, ale coś w nim to spóźnienie wywołało. Wszystko mu wirować zaczęło. I w tym wirze jakby wyraźne do końca nic nie było, ale jak się coś z wirowania wyłaniało, to zupełnie w pełni i całe. Wyraźne. Wirowania się zdarzały kiedyś już. Głównie w liceum. Ale im więcej psychiatra mu leków dawał, tym rzadziej się działy i w końcu w zasadzie przestały dziać się. Mimo wszystko jednak właśnie wyraźnie działo się takie.

Popatrzył w dół na plakietkę na swojej koszuli. I tam logo niezbyt miłe takie. Owale z nazwą sieci przychodni. Zielony. I napisane na plakietce, że Bartek i że uczy się. I zrobiło się przykro Bartkowi, że się uczy. Bo on się stara zawsze pomocny być i tym paniom pomagać i panom też czasem. Plakietka dalej twierdzi, że Bartek się uczy i nikt chyba nie wie, kiedy przestanie. A chwilę już Bartek pracuje.

I wtedy Edyta otworzyła pudełko z lanczem. Edyta, która siedzi obok niego przy biurku tym samym i która nie uczy się już, otworzyła pudełko, z którego powoli rozniósł się zapach łososia. Nie-

znośny zupełnie zapach ryby, który stał się wszystkim, co Bartek miał w tej chwili i cały Bartek był skupiony na zapachu ryby, połączonym jeszcze z kawą z mlekiem, którą przed chwilą zaparzył dla siebie i Edyty. To znaczy zaparzył dla nich przelewowy ekspres. Zaraz porzyga się na klawiaturę, ale nie zwróci przecież uwagi Edyty, bo Edyta zawsze miła dla niego i pokazuje mu, co tam klikać w systemie.

Zapach zniknął i pojawił się sam dźwięk. Dźwięk baniaka bulgoczący, kiedy ten chłopak młody, co do trójki czeka, wlewał sobie wody do butelki. I zawsze wszyscy do kubeczków plastikowych. I to dobrze, że do butelki, ale ile to trwać może?

Wszedł chłopak z butelką swoją wypełnioną zupełnie i w poczekalni zrobiło się cicho. Bartek powoli zaczął dostrzegać, jak nieprzyjemne jest wszystko w przychodni. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na światło. Okna zasłonięte przez cały dzień pożółkłymi roletami. Jarzeniówki pod sufitem w najzimniejszym odcieniu, w jakim można wyobrazić sobie jarzeniówkę. I normalnie to tak jakoś się człowiek przyzwyczai. Ale siedział Bartek i przez kolejną godzinę skupiał się na: świetle, temperaturze (równie niemiłej) i okazjonalnie na włosach wyrastających z pieprzyka na twarzy obsługiwanej akurat przez niego osoby. I po tej godzinie właśnie, spędzonej razem z potem na kołnierzu koszuli oraz szybkimi ruchami gałek ocznych, mógł Bartek wyjść.

I wyszedł, a na zewnątrz wcale nie lepiej chyba. Bo jakieś resztki słońca niby jeszcze mu na twarz padały, ale co po takich resztkach? I zapachy wszystkie zewnętrzne kanalizacji i szługów i dźwięki samochodów i widok gołębia martwego i rozlanej jakiejś zupy.

I z zupą właśnie przygoda kolejna, bo przechodził Barteczek koło baru mlecznego i tam kobieta starsza. Taka, że by mogła do przychodni przyjść. I zupę jadła pomidorową, ale tak ją jadła z intensywnością zupełną i pośpiechem i szybkością. I ten obraz w głowie Bartka się odcisnął jakoś i szedł Bartek dalej, żeby zjeść sobie coś w barze wietnamskim, ale z obrazem ciągle pod powiekami i tylko zupa i przełykanie jej.

Ale usiadł w barze w końcu i zamówił ryż z warzywami, bo mięsa Bartek przecież nie jadł, a nawet jakby jadł, to dzisiaj by nie zjadł pewnie, bo to nie należy w taki wirujący dzień mięsa zjadać. I jedzenie zupełnie było w zasadzie zwykłe i nic szczególnego, ale też spełniło przecież oczekiwania wszystkie i dobre, smaczne prawie. I tanie nawet, a w przychodni to najlepiej się nie zarabia przecież.

I wychodząc z baru, zobaczył Bartek pięć osób, które w zasadzie to nie wyglądały na zbyt miłe, ale jednocześnie wyglądało to wszystko bardzo miło. Jedli kaczkę chyba i makarony jakieś i piwo do tego mieli wszyscy. Ale wyglądało to tak, jakby oni dobrze się czuli wszyscy. Śmiali się i rozmawiali i poczuł się Bartek jakoś lepiej, co może jednak głupie. Bo dlaczego miałby się lepiej poczuć. Że się ktoś śmieje inny? Ale co zrobić, jak się poczujesz lepiej?

Więc się poczuł lepiej i z obrazem śmiejących się usiadł jeszcze na ławce. Bo w sumie niby lepiej, ale trzeba trochę odpocząć sobie po takich przygodach i wirowaniach i przygodach wirujących różnie. I siedział na ławce, a jak siedział na ławce, to podszedł do niego szczur.

- Siema – zagadał szczur.
- Cześć – odpowiedział uprzejmie Bartek.
- Wszystko git?
- No trochę mnie zawirowało, ale lepiej chyba trochę.
- Kurde, ale jesteś chory czy coś?
- No tak psychicznie raczej.
- Czaję, słaba sprawa. Ale chyba ci nie pomogę za bardzo.
- Nie przejmuj się. Radzę sobie.
- Ale to z pracą cię tak dzisiaj zagięło?
- Trochę chyba. Ale też praca nie jest taka zła. Mogłem gorzej trafić.
- A gdzie robisz?
- W przychodni siedzę na recepcji. Ale takiej sieciówce prywatnej.
- A, jakiś taki sra-med czy coś?
- No taki właśnie sra-med.
- To mogło być gorzej chyba. Ja będę spadać. Zdrowia i miłego dnia i w ogóle.
- Spoko. Do zobaczenia.

I poszedł szczur do swoich szczurzych interesów, a Bartek posiedział chwilę i poszedł do domu zrobić sobie kanapkę jeszcze, bo nie do końca najedzony jednak po tym ryżu.

Igor Pawletko – urodził się w Gdyni, mieszka w Warszawie. Studiuje na Artes Liberales, czyta dużo książek różnych. Zbiera małe figurki zwierząt i stare zdjęcia. Brat Neny.

jak napi- sać wiersz

Mikołaj Krzysiek

po prostu łapiesz
jedną z wielu
rybek, otulonych stawem
w dłonie
i bacznie się jej przyglądasz
potem składasz
je w łódkę
i kołyszysz na modłę
utraconego morza
ostatecznie
przechyłasz, kierując palcem
wskazującym
który w końcu
przedostaje się
do gęstszego
a ryba?
do zobaczenia

uważnemu błyska
jeszcze
nieuważnemu
znika

Mikołaj Krzysiek – urodzony zimą 1998 r. Żyje w Poznaniu.

Kolorowe krzesła. Tam były na pewno. Kolorowe krzesła i każdy miał swoją półeczkę, swój rewir z wciśniętą parą butów w kokonie worka, swoje jakieś prace kolorowe, zawieruszone kredki, spinki, naklejki. Pstrokate kwadraty z ryżem w środku, które podrzucało się w górę, wysoko, do nieba, do nieba, do głębokości niebieskich migdałów. Makaronowe łezki, makaronowe muszelki i grysik jak piasek między tymczasowymi, mlecznymi zębami. Siadanie przy podłużnych, niskich stołach ze śliskimi obrusami. Chcemy dokładkę, mamy dokładkę. Rubinowa galaretka wsypana kostkami do szklanki i ciapka bitej śmietany. Nie chcemy jeść, mamy problem. Chcemy ładnie mówić, mamy logopedę. Jesteśmy aktorami, bo mamy spektakle i publiczność. Jesteśmy malarzami, bo mamy wystawę na ścianie z naszym nazwiskiem i imieniem. MAMA PATRZ! Jesteśmy śpiewakami i potrafimy nawet po angielsku. *Head and shoulders, knees and toes, knees and toes, knees and toes*. I wszystkiego nam się gratuluje. I wszystko dobrze nam idzie. I wszystkich wszystko od nas cieszy. Niesiemy radość, niesiemy dumę. Niesiemy tyle rzeczy, aż ciężko, aż zmęczenie nas dopada i skrzypią prycze, bo chcemy spać, a jak chcemy spać, to mamy łóżko. Nasza warsztatownia, plac zabaw, edukatornia wykupuje u dnia kawałek nocy i zamienia się w bedroom. *Room* to pokój. *Bed* to łóżko. *Łóżko jest..., łóżko jest...* Ja nie wiem, jak jest ten kolor po angielsku. Śpią przedszkolaki. Przedszkolaki dzieli się na maluszki, średniaczki i dużych. Ci duzi są duzi i duzi nie mają leżakowania i kiedyś my będziemy duzi, a teraz jesteśmy mali, a jak będziemy w końcu duzi, to się dowiemy, że jesteśmy jeszcze strasznie mali. Mali będziemy trochę jakby na zawsze, a potem już nagle nie i już nigdy. I okaże się, że nie byliśmy ani aktorami, ani muzykami, ani artystami.

Krzesło i rotacja

Józefina Arodaz

Byliśmy typowym rośnieniem, jedzeniem, spaniem, rysowaniem szlaczków, poznawaniem liter. I nasz świat, który składał się z piosenek, takich jak o *ogórku, ogórku, ogórku, co miał zielony garniturek*, był światem całym, ale drobnym i nie starcza tam miejsca na długo. Dlatego ktoś nas musiał w końcu wyprowadzić przez tamte drzwi, wzięto nasz worek z butami, do teczki zebrano nasze prace i oddano. Przez korytarz w tym ostatnim pochodzie sunęła przy nas, jak na smyczy, smuga zapachów obiadów przedszkolnych, do których dostęp właśnie traciliśmy. Byśmy coś zjedli jeszcze, ale nie ma już nas przy stole. Miejsca szybko wypełnią się nowymi dziećmi, które dostaną swój wieszak w szatni, swój woreczek ryżowy, swój ręcznik w toalecie. Pierwszy raz zaśpiewają piosenki, które my już znamy na pamięć. Stąd podejrzewamy, że trzeba się będzie gdzieś przesunąć. Nasza ulubiona przedszkolanka woła za nami: *Do widzenia!* A my odpowiadamy leniwie: *dooo wiii dzeee niaaa*. Nie rozpoznajemy wyjątkowej sytuacji pożegnania, do której używa się codziennych słów.

Za kilka chwil będziemy mieli do czynienia z jasnobrązowymi krzesłami ze sklejki i białymi podeszwami trampek, które skrzypią, gdy biegnie się.

Józefina Arodaz (ur. 1997) – pisze pod pseudonimem, pracuje w bibliotece, mieszka na wsi. Publikowała na łamach magazynu BIS AGH. Entuzjastka uczt, dzikich słów, ucieczek i rzeczy szwankujących. Znaleźć ją można na Instagramie na koncie @josefinaarodaz.

jest taki rodzaj seksu matka
nigdy by go dla ciebie nie chciała ten kiedy się nie całujesz
ledwo dotykasz kiedy przyjaciel wpada
opróżnić ci życie z byłego
i kończy na kolanach wśród kubków
i kartek urodzinowych które już teraz
wydają się błahe nie na to
miała nadzieję kiedy byłeś mały
nie na to samolubstwo tę zachłanność ten pęd do bycia
pustym zawsze uczyła cię być
łagodnym stawiać innych przed sobą
dawać ludziom drugą szansę nie mogła
sobie wyobrazić że istnieje takie twoje
oblicze wychowała cię przecież o wiele lepiej

Oczysz- czenie

Andrew McMillan
tłum. Dawid Mobolaji

Budka telefoniczna

Andrew McMillan
tłum. Dawid Mobolaji

deszcz zadzwonił do ulicy nagle
i niespodziewanie typ natychmiastowy
bez uprzedniej mżącej zapowiedzi siebie po prostu
ulewa budka telefoniczna jedynym schronem
wydającym się mnie witać jakoś większa
niby wdzięczna za użytek inny poza
gorączkowymi działkami płaczem pijanych po zamknięciu
dworca palce deszczu pukające
uporczywie o szybę do przyjazdu autobusu
jeszcze dziesięć minut gdy pojawił się on
ubrania ciężkie przylegające jak mokra zbroja
wyglądał tak marnie że go wpuściłem oferując mu
miejsce jakbym tam mieszkał wcisnął się do środka
uznał chyba że mniej niezręcznie będzie
jeśli nie będziemy patrzeć na siebie oboje wpatrywaliśmy
się w niebo szukając oznak
przejaśnienia kałuża u jego stóp
gdy ociekał do sucha tył garniturowych spodni
powoli puszczał zarys bokserek
przez chwilę gdy odsunął się od warkotu
ciężarówki poczułem cały jego ciężar
przyciśnięty do mnie kiedy się cofnął

na moich ubraniach zostały plamy wody miejsca w których był
małe jeziora po nim spoczywające w szwach

dla przechodnia mogliśmy być kochankami
gotowymi do wspólnego pochówku lecz zanim

zdążyłem zapytać chociaż o imię zażartować
ze skrzydeł pozostałych po jego mokrych łopatkach

na mojej kłacie niebo zapaliło się od nowa a on opuścił
nasz schron bez słowa tak łatwo

jak ktoś kto próbuje zadzwonić
ale odkrywa że abonent jest czasowo niedostępny ku uldze

Sam fakt, że to robię nie ozna- cza, że

Andrew McMillan
tłum. Dawid Mobolaji

nieznajomość imion nie czyni tego czymś gorszym
walka na środku drogi o czerwony sweter i rower
nie czyni czymś lepszym to był po prostu

długi spacer przez huśtające się ulice żołądek
napięty jak bęben nad jamą brzuszną
usta odnajdujące wszystkie części siebie

widok w lustrze jak w ekranie laptopa
księżyc który próbował nas oświecić ale się oddalił
mieszkanie pełne międzyładujących

ten co chciał udawać zapaśnika
przyciśnięty pod lekliwą twarzą zegara ona spogląda
na pocałunki które chciałyby zostać dłużej niż noc

ten co powiedział że chciałby pisać
tak jak starsza pani w kapciach
mówi że kiedyś była tancerką

mocny ich zapach kiedy brali prysznic a ja się ubierałem
biegłem aż w centrum miasta brakło mi tchu
to nie deszcz deszczu jeszcze nie było on nadchodził

dzisiejszej nocy zacząłem wracać do ciebie ojcie
miał to być spacer ale zacząłem
iść szybciej ojcie zacząłem wzywać imiona
wszystkich mężczyzn z którymi kiedykolwiek poszedłem
do łóżka ojcie moje uda paliły a stopy
ciężyły od krwi lecz trzymałem tempo i rytm
imion ojcie wymieniałem je płotom
i drzewom nie przestawałem i stałem się
młodszy ojcie szedłem całą noc aż dotarłem do domu
znów jedynie iskrą w twoim kroczu i mówiłem byś nie
przywracał mnie do życia mówiłem że odpokutowałem
za każde imię i uwolniłem ich ode mnie ojcie

Męczeń- stwo

Andrew McMillan
tłum. Dawid Mobolaji

Andrew McMillan (ur. 1988) – angielski poeta i prozaik. Autor trzech tomów poezji: *Physical* (2015), *Playtime* (2018) i *Pandemonium* (2021). Jego debiutancki zbiór zdobył m.in. nagrodę Guardian First Book Award, stał się bestsellerem i przeszedł do historii jako pierwszy tom poezji wyróżniony tą nagrodą. W 2019 roku otrzymał Polari Prize dla literatury LGBTQ+. Wiersze McMillana, znane z intymnego spojrzenia na męskość, seksualność, ciało i zdrowie psychiczne, były publikowane w prestiżowych czasopismach literackich. W 2023 roku wydał swoją pierwszą powieść *Pity*. Opowiada o losach rodziny górniczej z południowego Yorkshire, eksplorując przy tym klasizm, przemiany międzypokoleniowe oraz dziedzictwo regionu. McMillan jest wykładowcą kreatywnego pisania na Uniwersytecie w Manchesterze. Publikacja w *Składce* to jego polskojęzyczny debiut.

Dawid Mobolaji (ur. 1996) – polsko-nigeryjski tłumacz literacki, pisarz oraz lekarz rezydent. Mieszka w Londynie. Tłumaczył m.in. teksty Łukasza Barysa, Ingi Iwasiów, Bartosza Konstrata oraz Patryka Pufelskiego dla anglojęzycznych czasopism, w tym *Words Without Borders*, *Asymptote* oraz *Plume*. Pracuje nad tłumaczeniem książki poetyckiej Urszuli Honek *Poltergeist*. W 2023 roku został stypendystą programu Emerging Translator Mentorship w National Centre for Writing w Wielkiej Brytanii oraz otrzymał Travel Fellowship Amerykańskiego Stowarzyszenia Tłumaczy Literackich (ALTA). Można go znaleźć na Instagramie na koncie @dawidmobolaji.

alba

Weronika
Stępkowska

roz stanie, tanie chwyt – i gra
gitara wieczny płomień flamenco, do
tkliwego żaru man-dolin

dochodzisz po cichu,
w spa(z)mie odczytując starożytne
emalie, parujące
(k)amfory, cały patos

Pompejów w tonacji
tribal dur – sza, man, jeszcze
nie raz odprawię twoje, mister,

ja, oprawię je
w (sz)ramy, zawieszę
między kaukaźnią
a słodyczą (sz)ponów

co myślisz o tych dwóch godzinach
które dzielą – nie()dzielą mnie mnożą
w zatrzęsienie czasu znane z filmów

urnograficznych? czy zatrzymałeś się
kiedykolwiek nad przepaścią
wersu, żeby nie stracić weń

misternie podłożonych
pod twoje rozumienie werku
prochów,

z autoinskrpcją: wer syf i kac ja?
którędy wyszedłeś na ludzicz, z jakiego
peronu rozjeżdżają się wskazówki

wersów skazanych na ruch
posuwowy? stój
teraz – dobijam

komara, którego po wszystkim oboje
utniemy; klepię
cię jak cydr, biedę lub zdrowaśki, zaklepuję
wykolejenie.

Weronika Stępkowska – wyznawczyni reguły „3 F” (feminizm, filozofia, feline phantasies), praktykująca gorliwie różne rodzaje rozszczepień – od tych między ciałem a umysłem, przez rozszczepienia języka obcego, jakim staje się dla niej polszczyzna, po romantyczne roz(s)zczepienia. Chciałaby kiedyś napisać pracę o formach przejawiania się Białoszewskiego „siulpetu”. Tymczasem pisze (i czasem publikuje) zupełnie inne rzeczy: a to wiersze (można je znaleźć w takim piśmie jak: *Arterie*, *Wyspa*, *Fraza*, *Gazeta Musi Się Ukazać*, *Drobiazgi*, *Szorty*, *Nowa Orgia Myśli*, *Babiniec Literacki* oraz w kilku różnych antologiach i zinach), a to recenzje bądź eseje (w *Arteriach*, *Śląskiej Strefie Gender* i na stronie fejsbukowej *Weronicowanie Poezji*). Autorka tomu *Algorytmy i Olgorytmy szaleństwa* (Nowa Ruda, 2023).

pierścienie saturna

śomi śniegocka

Tekst *Pierścienie Saturna* miał swoją prapremierę jako projekt dźwiękowy w CSW *Wiewiórka w Składzie Solnym* w kwietniu 2024. Został przygotowany wspólnie z Matem Barskim (muzyka) i Ann Chmiel (dźwięki, wizuale). Planowane jest również stworzenie z *Saturna* albumu muzycznego.

Ta jego wymięta, wyszarzała twarz, pierścienie poupychane, po trzy, cztery na każdy palec. Dłonie zawsze mu puchły na nów, znów sygnety hamowały dopływ krwi, odpuszczały w pełni, zupełnie się zsuwały z palców, gubił je.

Na każdym z nich Uroboros, najpierw połknie swój ogon, potem palce, Saturna, mnie, ciebie, świat, wszechświat. Niebo odtąd dotąd będzie w kolorze węzowym, a podczas burz w dachy uderzać będą zielonawe łuski.

To co pamiętam, to jest dokładnie taki obraz otwierania pięści, bardzo powoli prostują się, lekko szeleszczą, w slow motion miękną, znikają z widoku zmęczone paznokcie, widać tylko rozmyte tyły pierścieni. Niespiesznie, sennie wyłaniają się dwie mapy wyrysowane z linii jego szerokich, szorstkich, owalnych dłoni. Podczas prostowania każdy z palców wydaje dźwięk w innej częstotliwości. Moje uszy w odpowiedzi też wydają własne tony, uciekają ptaki, psy lamentują, skomle właściwie wszystko wokół. Nie mogę zapamiętać kartografii jego dłoni, przysłania ją dźwięk palców i rozwścieczonych nimi psów.

„Pory roku na Saturnie trwają siedem ziemskich lat, rok dwadzieścia dziewięć i pół” – tłumaczył mi bardzo dokładnie. Tego dnia jego wszystkie pierścienie były na miejscu, dłonie spokojne i delikatne jak nigdy, jakby wypoczęte, solidnie wyspane.

„Chodź, zabiorę Cię na pogrzeb srok” – zgodziłam się i w milczeniu, między blokami, śmietnikami i trzepakami, wzdłuż małych drzew i wyblakłych żywopłotów, doszliśmy nieco spóźnieni na pożegnalną ceremonię. Patrzyliśmy przejęci, w ukryciu, jak przegnębione ptaki w kole otoczyły leżące upierzone ciało i wydawały dźwięki podobne do alarmujących syren. Ich pieśń odbijała się od rynien, niósł się smutek po całej okolicy. Znosiły gałązki i liście, przykrywały zmarłą srokę znaleźskami. On też podszedł i zsunął z lekkim trudem srebrny pierścień, położył na zmarłej i zaczął głośno alarmować z pozostałymi, aż w końcu dźwięk stał się miły, wszystko odfrunęło, nic już nie pissało, nic nie płakało, a on cichutko pod nosem szeleścił językiem:

„Pękają pierścienie na palcach Saturna, pęka serce Urana i Jowisza, pęka ze śmiechu Mars i Pluton, pękata twarz Venus uśmiecha się czule”.

Szelest języka ustaje, zamykamy oczy, otwieramy je: leżymy w mokradłach, ja unoszę się ponad, on zapada się w głąb. Chmury nad nami niepodobne są do chmur, przypominają raczej gwiazdy, co umierając, wybuchają w najjaskrawszych kolorach. Razi mnie niebo, jego pochłania mokra ziemia, pomiędzy nami kłęby powietrza formują się spiralnie. Wstaję, szukam domu, co wydaje się być moim, w skrzynce od niego masa pocztówek, wiersze, powycinane słowo po słowie z różnych gazet. Składam je w zdania, co są jak anagramy, zostawia mi wiadomość w sprawie mapy dłoni:

„Na dnie tej kałuży głębokiej zostawiłem rodzinne pamiątki, należy: nurkować w prostej linii, zatykać nos szczelnie, otwierać oczy szeroko, ze świadomością zamętu wody, nie dać się połknąć.

Zrobiły się supły z korzeni, moczą się długo, trująca powłoka wyciera się powoli, genos, logos i zapach blokowisk. Zamek puścił lekko, klucze wypływam szybko, wypuszczam je na wolność w nurt każdej nocy, szukają mojej prawdy poprzez zanurzenie. Otwierają się przede mną kałuże świata, pełne rozmiękczonej kocich pazurów, co mi wydrapują na plecach (gdy nurkuję) listy zakupów, ciągi haiku, labirynty z torfowisk. Otwieram usta, zamiast języka mam twoją dłoń, zaczynam nią machać do przechodniów, w języku migowym śpiewam pieśń dziękczynną”.

Nie (z)noszę pierścieni, nie wypatruję gwiazd, one same każdej nocy dopadają mnie, przykrywają sobą, formułują się wokół mojej głowy, szyi, wokół dłoni niczym złote bransoletki. Są jak hula hop, co nie chce przestać się kręcić. Nocami z potrzeby wypełnienia braku staję się nim, cała obwieszona pierścieniami, a pomiędzy nimi osiemdziesiąt trzy księżyce, co świecą jak chcą. Jestem lekka i one są lekkie, a na dłoniach moich nie ma już linii serca. Chodzę więc na wspak, by się nie zgubić, wszystko odwracam, co spotkam, to przekręcam.

„Słowa moje otwieraj kluczem, wyłów go z kałuży świata i wysusz na słońcu. Jeśli mnie zrozumiesz, w nagrodę wyślę Ci pantoflową pocztą sygnet znaleziony na grobowcu srok, co będzie świecił nawet wtedy, gdy wszelkie światło przysłoni Uroboros”.

śomi śniegocka jest artystką, poetką dźwiękową, zajmującą się pracą z ciałem, głosem, magią i improwizacją. Mieszka w Krakowie, ale często odwiedza inne wymiary, z których zwykle wraca. Zainspirowana surrealistami i zafascynowana psychogeografią, tłumaczy sny na język spacerowania. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @somi.sni i na www.somisni.pl.

swoją retro wersję
wsadziłam w bajki 2D
odlałam w oczach lalek
zamknęłam usta

nim wyszukali kąt
gniazdo między jednym a drugim
nieosiągalnym

swawolne
od klasy do klasy
od domu dziecka do domu dziecka
od kiosku do kiosku

może nadal plątam się
tam
w ich tekturach
po zabawkach

może dzisiaj
nadal patrzą na mnie
przez dziurki od swetra

drążą ścieżki

myślami o tym kogo dla nich

nie ma

mini

Dominika Król

Dominika Król – studentka filologii polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, kleci słowa i znajduje w nich swój głos, stale drąży, feministka, miłośniczka zielonej herbaty i tego, co prawdziwe. Publikowała w Notatniku Literackim i magazynie Szajn. Można ją znaleźć na Instagramie jako @szczera Poezja.

telepora- da

Julia Sałacińska

ostatnio w poszukiwaniu masła na promocji
zdradziłam lidla z biedronką
dotarłam na miejsce późnym wieczorem
oczywiście zdążyli zmienić całe ustawienie sklepu
po omacku kieruję się więc stroną nabiału
i tak idę i myślę
że jeśli utrata gwarantuje pamięć i nadzieję
to nie chcę ani jednego ani drugiego
nie chcę wspominać letnich upałów
które rozlewały po nas ciepło
wypełniając wszystkie pęknięcia
i przez które ostatecznie utonęliśmy
nie chcę pamiętać niebieskich oczu
które patrzą na mnie z czułą uważnością
dając kruchą nadzieję
że to poczucie nietrwałości minie
nie chcę też znowu widzieć siebie
jak rozpaczliwie wskazuję gdzie boli
jak obnażam się ze wszystkiego co mi pozostało
a on po prostu wychodzi
nie mówiąc nawet *do zobaczenia*
i przede wszystkim nie chcę wierzyć
że to wszystko jeszcze może się zmienić
bo już spojrzałam w oczy rzeczywistości
i nie ma w niej dla mnie miejsca

z tego wszystkiego aż mnie brzuch rozboleł
na szczęście właśnie docieram do działu z nabiałem
masła oczywiście o tej porze brak

obok mnie jakaś kobieta rozmawia przez telefon
desperacko wypatruje w lodówce choćby jednej kostki
i mówi tak

*no nie ma
nie ma tego masła coś ty myślała
weź w ogóle mnie nie denerwuj
czekaj co
marcin??
aha aha mhm
no ta jeszcze czego
teleporady w lubaszce będzie udzielał!!
dobre dobre*

i oddała się w kierunku królestwa proteinowych serków
a ja patrzę za nią i zastanawiam się
ile taki marcin bierze za teleporadę w lubaszce
może on by mi powiedział
co innego mogę zrobić
bo udawanie zapomnienia jest mało skuteczne
a jeszcze jak serce się nie poddaje
to już w ogóle szkoda gadać

Na odwrót

Zuzanna Stempka

Są takie momenty, kiedy od razu wiadomo, co stanie się później. Rozciągłość takich chwil jest statystycznie dosyć duża. Jeśli włożymy dłoń w dogasające ognisko, to i tak się poparzymy. Przeklinając przy młodszym kuzynie wiemy, że nastąpi sytuacja, kiedy szepnie brzydkie słowo przy swoich rodzicach. A kiedy nie ustawimy na jutrzejszy dzień budzika, pewnie nie zdążymy na wyczekiwaną od kilku miesięcy poranną wizytę u kardiologa.

Okazuje się, że mamy w garści sprawczość, którą zawsze chcieliśmy mieć.

Realnie wpływać na dalszy los świata, w kółko zwalniać i przyspieszać czas.

Pędzić do przodu bez opamiętania, bo przecież nie ma na co i na kogo się odwracać.

Nie wspominać.

Odrzucić margines błędu i najzwyczajniej działać, działać, działać.

Jadę rowerem. Słucham albumu Deana Blunta *Soul on Fire*. Moim największym marzeniem w tej chwili jest chyba posiadanie długich włosów. Nie byle jakich, ale długich i ciemnych do samej ziemi.

Jesienią rozszczepiałyby światło na ich taflę niczym bursztynowy pryzmat. Fajne by były takie włosy. Czy wtedy musiałabym w ogóle nosić szalik? Może robiąc jakąś wymyślną fryzurę, nie musiałabym zakładać nawet czapki? W tym momencie wciskam mocniej lewą nogę w pedał i czuję, jak w łańcuch wkręca mi się nogawka. Rozrywa się i wygląda, jakby mi ją pogryzło jakieś żyjątko dokarmiane potajemnie smarem.

Czasami mam wrażenie, że mogę zmieniać świat tylko pozwalając mu na to, żeby moje życie toczyło się jak wielka kula z plasteliny.

Kiedys taką zrobiliśmy z tatą – zmieszaliśmy wszystkie kolory i miała przez to kolor dosyć kompostowy. Kulałam ją po swoim pokoju i po krótkim czasie miała w sobie wszystko, od koralików z pękniętej bransoletki od babci, po psie kłaki, wykałaczki i papierowe ścinki. Koniec końców miała w sobie więcej bibelotów niż samej plasteliny.

Ja na co dzień też zabieram ze sobą wiele rzeczy po drodze. Nie wszystkie koniecznie chce ze sobą brać i wtedy powtarzam sobie w głowie „co z tym potem zrobisz?” albo „na co ci to?”. Przykłady: kasztan w kieszeni, ptasie pióro pod obudową telefonu, patyk przypominający ludzika, turkusowy odłamek kafelka, bransoletka będąca czerwoną nicią z muliny.

Wiele osób dziwacznie reaguje, kiedy wyciągam takie rzeczy w barze przy piwie i opowiadam, skąd je wzięłam. Nie rozumieją fenomenu historii, tego jak przedmioty pojawiły się w moim życiu. Za każdym razem, kiedy trafiają w moje ręce, odnoszę wrażenie, że od bardzo długiego czasu właśnie na to czekały. Jakby tylko po to właśnie miały powstać.

Jeśli znalazłam właśnie taki patyk przypominający małego ludzika, to jak duże są szanse, że uda mi się go znaleźć jeszcze raz? Jadąc rowerem, wypadnie z kieszeni spodni i obijając się o chodnik, skończy swój żywot pod zieloną ławką. I dopiero po powrocie do domu dotrze do mnie myśl, że czegoś mi brak. Miejsce, które było tylko jego, nagle staje się puste. I sama nie wiem – jakieś odkształcone i nijakie. Tak to właśnie jest – to tak zwana *nauczka*. Nie przywiązywać się i dopasować się do nowego stanu tego świata. Jest mi przykro, naprawdę, ale nic nie poradzę. Tak czasem bywa. Mówię

sobie: nie martw się, chociaż czuję, że chyba jednak choć trochę powinnam.

Wkładam teraz do kieszeni kasztana. Mają moc przyciągania złych mocy i trzymania ich w sobie.

I dopiero kiedy przeciąży je to całe zło, wypadają z kieszeni. Same wiedzą, kiedy wyskoczyć.

Na rowerze czas płynie szybciej, a przynajmniej tak mi się wydaje. Zwłaszcza jadąc po asfaltowych ścieżkach, patrząc na szybko przemijające drzewa po obu stronach. Cała ta rzeczywistość przemija jak w przyspieszonym filmie, jakby ktoś stał i bardzo szybko przewijał zapętlony obraz.

I mogłabym tak w nieskończoność, naprawdę. To znaczy, dopóki się nie zmęczę albo niefortunnie trafię na jakiś kamień, jakąś wyrwę w ziemi albo powykręcany patyk. No właśnie – patyk.

Kilka razy zdarzyło mi się spaść z roweru. Jednego razu wjechałam dosyć nieszczęśliwie w szynę tramwajową i po chwili nieuniknionym stało się to, że moje kolano i lewa dłoń będzie mieć bliski kontakt z torowiskiem. Na szczęście nie tylko ja spadłam, bo i łańcuch, który założył mi anielski zesłaniec wiozący na plecach pewnie jakieś pierogi albo McDonalds'a. Nie mogłam przez dwa tygodnie jeździć na rowerze. Trochę było mi przykro.

Tym razem – w parku – jechałam rowerem i czułam tylko, jak kierownica lekko, acz stanowczo, podskakuje, a ja wznoszę się nad siodełko. Po chwili leżałam już na ścieżce, jakoś tak bokiem, jakoś tak dziwnie. Nic się nie stało, spodnie trzeba będzie wrzucić do pralki, a szkoda, bo dzisiaj rano wyprasowałam je w kant. Aż trudno mi w to uwierzyć, tak na prostej drodze upaść.

Nie mija wcale dużo czasu (teraz, po fakcie, obstawiam, że około minuty) i już wiem. Odwracam głowę, nadal leżąc na ziemi i ukazuje mi się niespotykany widok. Widzę to, co pod zieloną, obdrapaną ławką. Tam, gdzie nie dosięga wzrok przechodniów, rośnie wysoka trawa, ale nagle, w tej beznadziejnej teoretycznej sytuacji, widzę to wszystko właśnie ja. I już wiem dlaczego. W trawie dostrzegam podłużny kształt. Po chwili trzymam to w dłoni i aż muszę podnieść ręce, które naturalnie z niedowierzenia i tak by po chwili opadły.

Patyk ma dwie ręce. Patykowe. Dwie nogi – też patykowe. Nadzarpnięty przez czas, lekko obdrapany z kory. Tylko czekał na moment, żeby znowu mnie odnaleźć.

Zuzanna Stempska – od 2020 studentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. W prawie każdym swoim działaniu artystycznym wykorzystuje patyki, które są się dla niej nośnikami symboli, czasu i organicznej formy. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @zstempka.

nic po- między

Alhelí Málaga

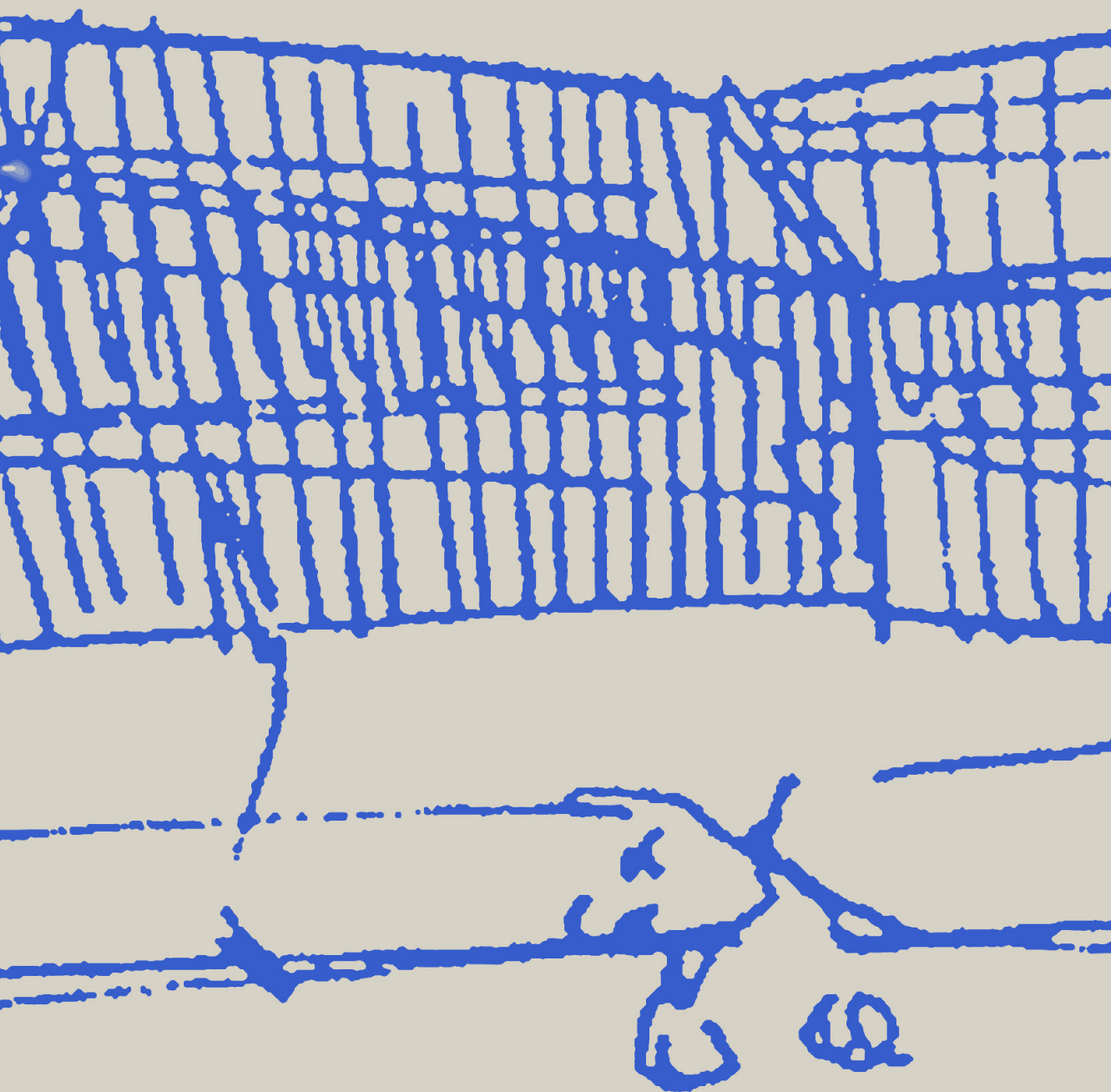
było dużo bardzo dużo gruzu
zgrzytu sznytu powagi zapomnianych haseł
manieri pisarskiej manierki na wodę
chadzaliśmy po lasach jak gdyby nigdy nic
zdrapywaliśmy strupy
było światło brak światła nic pomiędzy
śmiejch szyderczy oraz śmiejch łaskawy

Alhelí Málaga – pisze (wiersze i opowiadania), tłumaczy (w kombinacji językowej polski/hiszpański), dzierga (na razie tylko szaliki). Można ją znaleźć na Instagramie na kontach @malhelik oraz @dziergamyszaliki.



Redakcja: Krystian Furga, Klaudia Kołodziejczyk,
Sandra Moczulska, Marcin Salwin
Korekta: Krystian Furga
Skład: Klaudia Kołodziejczyk, Sandra Moczulska
Projekt okładki: Marcin Salwin
Obraz na stronie 39: Louis-Léopold Boilly „Deux jeunes femmes
s’embrassant”

Magazyn Literacki Składka, Warszawa 2025
www.magazynskladka.pl



SHLADKA